



**/fragment powieści/**

## Rozdział pierwszy

(...)

2.

(...)

\*

Odetchnąłem z ulgą, wychodząc na zewnątrz i zamykając za sobą drzwi na klucz. Już nie rozglądałem się w poszukiwaniu ciekawskich oczu sąsiadów – najważniejsze było opuszczenie tego miejsca, niezależnie, czy prócz trzech ciał znajdował się w nim ktoś jeszcze.

Początkowo planowałem zajrzeć na chwilę do Janki, by sprawdzić, co z Teresą, lecz ostatecznie postanowiłem zrobić to dopiero po przyjeździe Stanisławskiego. Jeśli Bielakowa wciąż spała, lepiej było jej nie budzić.

Miałem więc jakieś dwadzieścia minut. Skierowałem się w stronę drewnianej, pokrytej falistym eternitem stodoły. Deszcz wciąż padał, a mnie nie było w smak moknąć znów w jego lodowatych strugach. Okazało się, że przysadzisty, dwudrzwiowy budynek służył też jako garaż dla stojącego tuż za szerokimi wrotami malucha oraz dla wyglądającego na wysłużony żółtego ciągnika ursus C-330.

Domyślałem się, że w tego typu budynkach można znaleźć zapas jakiegoś paliwa (świadczył o tym także charakterystyczny zapach), niemniej jednak ostatecznie z tego zrezygnowałem. Janek wkrótce miał je przywieźć, więc wolałem do tego czasu trochę odpocząć. Znalazłem przewrócony pieniek do rąbania drewna i usiadłem na nim ciężko, opierając plecy o belkę biegnącą w poprzek stodoły. W trakcie tej dość prostej operacji udało mi się zaplątać w długi na kilka metrów zwój grubego sznura, sięgnąłem więc po niego, by natychmiast odrzucić go z obrzydzeniem. Zaraz potem wstałem, pochyliłem się i znów wziąłem go do ręki. Nie było wątpliwości – miałem w dłoni fachowo wykonaną, zwieńczoną solidnym węzłem pętlę wisielczą.

Spojrzałem do góry, a potem na ścianę stodoły. Z przylegającej do niej belki zwisał drugi, o wiele krótszy kawałek powrozu niż ten, który trzymałem. Wyglądało więc na to, że znacznie zbliżyłem się do rozwiązania zagadki. Najpewniej w tym miejscu samobójstwo popełnił mąż Bożeny, po czym obudził się już jako postać, u której nie zobaczyłbym źrenic, odciął sznur przy ścianie i poszedł mordować najbliższych. Potem udał się do sąsiedniego domu i okłamał Teresę, po czym porwał jej syna.

Niby wszystko było jasne, ale jednak coś nie grało. Nie to, że Teresa nie zauważyła zmiany, której uległ jej szwagier, bo przecież w

hotelu w Łęcznej Janka też nie zobaczyła nic dziwnego w wyglądzie Weroniki.

Stałem w miejscu, gdzie znalazłem pętlę i przewrócony pieniek, a potem odliczyłem krokami odległość od ściany. Cztery, a więc około trzech metrów. Krótszy kawałek sznura mierzył co najwyżej metr. Nie było szans, aby sięgnąć ręką z jednego miejsca do drugiego. Jeśli założyć, że mąż Bożeny po targnięciu się na własne życie miał ważniejsze rzeczy na głowie, niż turlanie pieńka i przenoszenie powrozu...

– Nie był sam – szepnąłem, a potem poczułem potężne uderzenie w okolice nerek, które zwałiby mnie z nóg, gdyby nie to, że stałem tuż przy ścianie stodoły i mogłem się o nią oprzeć wolną ręką.

– Cóż za przenikliwość – dobiegło zza moich pleców. W tym samym momencie poczułem dwa bolesne ukłucia na szyi, które nieco przygłuszyły rwanie dobiegające z okolicy lędźwi.

Głos wydał mi się znajomy, ale – co trochę mnie zdziwiło – nie należał on do Czarnego. Jego rozpoznanie utrudniał ulewny deszcz, który wciąż bębnił o dach. Gdyby nie to, być może usłyszałbym zbliżające się kroki, niewykluczone jednak, że byłem zbyt zaabsorbowany swoim odkryciem, by zwrócić na nie uwagę. Teraz, kiedy ostre szpikulce prawie przebiły skórę na moim karku, nie miało to już specjalnego znaczenia.

– Jakie to szczęście, że takiś dociekliwy – powiedział. – Już myślałem, że się nie doczekam. Milicję zawiadomiłeś?

Rozmawiałem z nim ledwie kilka chwil przed kościołem w Starzyźnie, a później zdarzyła się nam tylko krótka wymiana zdań na Czarnym Wygonie, ale wtedy jego głos brzmiał zupełnie inaczej. Wtedy to ja byłem katem, teraz był nim on, a przecież głos kata zawsze się

będzie różnił od głosu ofiary. Poznałem go więc bardziej po treści pytania. Milicji w Polsce nie było już od ładnych kilkunastu lat, ale w pięćdziesiątym drugim, gdy Dobrowolski wbijał nóż w serce Pauliny Podolak, formacja ta miała się nadzwyczaj dobrze.

– Oczywiście. Jada już z psami tropiącymi. Będzie ci się trudno odganiać od nich jedną ręką.

Ból na szyi stał się jeszcze silniejszy.

– To już mój kłopot, dowcipnisiu. Do tego czasu zdążę się z tobą porządnie zabawić.

– Myślałem, że wolisz młode dziewczyny, które możesz bezkarnie wykorzystać, a potem...

– Milcz!

Jeden ze szpikulców przebił skórę. Poczułem strużkę krwi spływającą po plecach, a zaraz potem nacisk zelżał.

– Odwróć się – odezwał się Dobrowolski. – Chcę zobaczyć, jak umierasz.

Zrobiłem, co mi kazał.

Środkowe szpikulce czterozębnych wideł, które trzymał w lewej ręce, dotknęły tym razem mojej grdyki. W półmroku widziałem jego fosforyzujące białą oczy, ale ponieważ kaptur był lekko odchyłony, a przez jedną ze szpar w ścianie, o którą się teraz opierałem, wpadało do stodoły pionowe pasmo światła, po raz pierwszy zobaczyłem też jego twarz. Szczyrzył zęby jak wściekły pies, czym przypomniał mi spotkanie z Czarnym w piwnicy Adamowiczów. Jednak wtedy miałem do czynienia z cynicznym wyrachowaniem i okrucieństwem przykrytym cienką warstwą okrągłych, starannie dobieranych słów, a tym razem naprzeciw siebie widziałem szaleńca dyszącego żądzą zemsty.

Po raz kolejny żałowałem, że nie mam ze sobą różańca. Gdybym miał więcej oleju w głowie, zapewne moja sytuacja nie byłaby tak beznadziejna. Uśmiechnąłem się z niedowierzaniem na myśl o swojej lekkomyślności, co Dobrowolski natychmiast zauważył.

– Wesoło ci? – spytał.

– Zastanawiam się, czy w pakiecie z widłami dostałeś też kopytka i czarny ogon...

– Ty sukinsynu. Zaraz pożałujesz dnia, w którym się urodziłeś – wyrecytował swoje znane mi już dobrze z brulionu Gielmudy powiedzonko. – Będziesz zdychał w męczarniach.

– Urodziłem się w dniu, w którym zamordowałeś Paulinę. Wiedziałaś o tym?

Przez chwilę na jego twarzy zagościło zdziwienie, ale zaraz potem odparł.

– Nie ma to znaczenia. Szykuj się... – Poczułem mocniejszy nacisk na grdykę.

– Poczekaj chwilę. Ostatnie życzenie skazanego... – wycharczałem.

– Tylko szybko. Chętnie zabawiłbym się z tobą dłużej, ale milicja jest już pewnie w drodze. – W jego głosie zabrzmiała nuta żalu.

– To ty zabiłeś dziewczynki i siostrę Teresy?

Zawahał się, ale potem, uznawszy zapewne, że jego odpowiedź i tak już nic nie zmieni, odparł:

– Nie, to było zadanie dla głowy rodziny.

– Wiedzieliście, że Bielakowa pilnuje syna i musieliście się uciec do podstępu?

– To swoją drogą, ale Tadzik przecież sam z siebie i za darmo nie wywinął takiego numeru. Coś za coś.

– Co dostał w zamian?

– Wykonał zadanie, udowodnił, że można mu zaufać, a w nagrodę dostał coś, na czym bardzo mu zależało. Zdziwiłbyś się, za jakie drobiazgi ludzie są w stanie robić innym krzywdę. – Popatrzył na mnie uważnie, a na jego gębie pojawił się krzywy, lubieżny uśmiech. – W sumie to mogę ci powiedzieć, bo niby czemu nie. Od dawna spotykał się z taką jedną w Zamościu, teraz będą już mogli więc sobie gniazdko bez przeszkód. Przeszkody nie są groźne, gdy dyndają na stryczku. – Roześmiał się, zadowolony ze swojego żartu. – Poza tym pieniędzy też będą mieli pod dostatkiem...

Nie chciałem już dłużej słuchać.

– To ty byłeś przed chwilą w domu, prawda? – przerwałem mu. – Czekałeś na mnie i miałeś nadzieję, że zaskoczysz mnie, gdy przyjdę i zobaczę, że się ruszają? Nie byłeś pewien, czy będę miał ze sobą różaniec, bo Czarny cię ostrzegł, że mogę mieć i kazał ci uważać.

– Jak dla ciebie, to pan Czarny. Bardzoś domyślny. Szkoda, że to nie ty dołączyłeś do naszej drużyny, byłoby nam wtedy łatwiej, no ale cóż... Jak widzisz, ze znalezieniem innych sojuszników nie będzie kłopotu... – Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a potem lekko cofnął rękę, by zadać ostateczny cios.

Niektórzy twierdzą, że warto zachować sznur, na którym ktoś się powiesił, bo to przynosi szczęście. Ten, który przed chwilą znalazłem, wciąż spoczywał w mojej dłoni, więc postanowiłem sprawdzić, ile w tym prawdy. Gdy ucisk zelżał, zamachnąłem się i starałem się uderzyć Dobrowolskiego. Początkowo wyglądało na to, że grubo przestrzeliłem,

ponieważ pętla nie trafiła w głowę, zaraz potem okazało się co innego – sznur gwałtownie wprawiony w ruch zawinął się za szyją, nabrał rozpędu, okrążając czaszkę na wysokości prawego ucha i okalając czoło tuż nad oczyma, a ciężki, twardy jak kamień węzeł stryczkowy z ogromną siłą uderzył przekłętego klechę w lewą skroń. Jednocześnie uchyliłem się, unikając wideł, które, minimalnie spóźnione, wbiły się w ścianę dokładnie w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą było moje gardło.

Dobrowolski zachwiał się, ale jakimś cudem zdołał utrzymać równowagę, jednak chwilę potem, gdy wolną ręką z całej siły walnąłem go w szczękę, bezwładnie runął do tyłu, uderzając potylicą w pień, na którym wcześniej przysiadłem. Pomimo chromej nogi i palącego plecy bólu, skoczyłem do przodu jak nastolatek, zerwałem kaptur habitu i zarzuciłem pętlę na szyję mojego niedoszłego oprawcy. Gdy była już mocno zaciśnięta, drugi koniec sznura przerzuciłem przez biegnącą w poprzek stodoły belkę, a następnie pociągnąłem go z całych sił w dół. Stało się to dokładnie w chwili, gdy Dobrowolski zaczął odzyskiwać świadomość.

Pamiętając o nadludzkiej sile, którą dysponowały upiorne postaci w Starzyźnie, zacząłem zastanawiać się, czy nie jest w stanie podciągnąć się na jednej ręce, ale nawet gdyby mu się to udało, nie zdołałby oswobodzić szyi z ciasno zaciśniętej pętli. Pozostawało więc tylko wyteńczyć wszystkie siły i czekać, aż szejnie, bo przecież drugą rękę miał odstrzeloną nieco poniżej barku. Na pytanie, czy na zawsze, czy też może następnego dnia znów się obudzi w jakimś przypominającym Czarny Wygon miejscu, odpowiedź poznałem już po upływie kilku minut.

\*

Okazało się, że uduszenie Dobrowolskiego będzie trudniejsze, niż mi się na początku wydawało. Zdołałem wprawdzie spionizować ciało, ale podniesienie rosnącego mężczyzny w taki sposób, by przestał dotykać ziemi palcami stóp, przekraczało moje możliwości. Mało tego – gdy ramiona zaczęły mi mdleć z wysiłku, a on zaczął się gwałtownie szarpać, byłem przekonany, że sznur zaraz zostanie wyrwany z moich dłoni.

W ostatniej chwili dostrzegłem metalowy hak wkręcony w pionową belkę konstrukcyjną. Udało mi się przeciągnąć pod nim powróż i dzięki uzyskanej w ten sposób dźwigni utrzymanie liny stało się o wiele łatwiejsze. Z satysfakcją patrzyłem, jak Dobrowolski rzuca się na wszystkie strony. Nie potrafiłem wzbudzić w sobie nawet krztyny litości. Zresztą wcale tego nie chciałem, pamiętając dobrze, z kim mam do czynienia.

Nagle przyszedł mi do głowy iście szatański pomysł. Wyczekałem chwili, gdy ciało po drugiej stronie sznura zamarło na chwilę i wtedy udało mi się zawiązać na haku prowizoryczny węzeł. Nie był on zbyt skomplikowany, jednak w zupełności wystarczył do utrzymania Dobrowolskiego. Wtedy przeszedłem kilka kroków i stanąłem naprzeciw niego. Zauważył mnie dopiero po chwili, a wtedy jego twarz znów nienawistnie się wykrzywiła. Chyba chciał coś do mnie zagadać, ale sznur skutecznie mu to uniemożliwił.

– Jak się bawisz, gnoju? – zapytałem. – Podobają ci się takie igraszki?

Zamiast odpowiedzi usłyszałem stłumiony charkot.

– Mogę skrócić tę twoją szamotaninę.

Zrobił to, czego się spodziewałem wcześniej. Sięgnął lewą ręką za głowę, złapał za węzeł i podciągnął się lekko.



– Sssspie... eee... – Na więcej nie było go stać, nie mógł tak wytrzymać zbyt długo, puścił więc sznur, a gardłowy głos przeszedł w bezgłośnie syczenie. I tak domyśliłem się, co miał mi do zakomunikowania.

– Wystarczy, że odpowiesz na dwa proste pytania. Po pierwsze: gdzie jest Mateusz Bielak?

Pokręcił głową, ale to chyba nie był dobry pomysł, bo zaraz potem wykrzywił twarz z bólu.

Wzruszyłem ramionami.

– Jak wolisz – powiedziałem, a potem przeturlałem pieniek i usiadłem naprzeciw. – Ja mam czas. Masz może papierosa?

Tym razem nawet nie próbował odpowiedzieć. Z najwyższym trudem łapał powietrze i przypatrywał mi się bez słowa.

– Proste pytanie, krótka odpowiedź.

Gdyby miał źrenice, pewnie co chwila uciekałyby mu one pod powieki. Zacząłem się zastanawiać, jak długo tak wytrzyma, zanim się udusi na amen. Zamknął oczy.

– Może potrzebujesz ostatniego namaszczenia? Ach, zapomniałem, jesteś przecież księdzem, więc sam go sobie możesz udzielić. Wyspowiadać się też możesz sam przed sobą.

Tym razem chwycił za węzeł z tak dużym wysiłkiem, że aż zacząłem wątpić, czy uda mu się po raz kolejny podciągnąć.

– U... u Bi... eee... sów.

– U biesów? Coś chyba zaczynasz bredzić albo nie wiesz...? No ale może z drugim pytaniem pójdzie ci lepiej. W jaki sposób Czarny dostaje się do Starzyzny?

Zauważyłem, że ciało Dobrowolskiego zaczęło zwisać bezwładnie, a po chwili wstrząsnęły nim konwulsje. Poderwałem się z miejsca.

– Czekaj, jeszcze nie, muszę poznać odpowiedź przynajmniej na drugie pytanie! – krzyknąłem i poturlałem pieniek w jego stronę, pamiętając jednak, by pozostać poza zasięgiem jego ręki. Wtedy usłyszałem stanowcze:

– Zostaw go! Popuść linę i go natychmiast zostaw. – Odruchowo rozejrzałem się wokół, ale dźwięczny, tym razem dobrze mi znany głos dobiegał z góry.

Podniosłem głowę.

Twarz Dobrowolskiego, która – nie miałem co do tego wątpliwości – nie należała już w tej chwili do niego, patrzyła na mnie z lekkim zniecierpliwieniem, a w kąciку jej ust czaił się lekki uśmiech.

– Och, mój drogi Witku, ależ ty jesteś nieznośny. Słyszałeś chyba, co powiedziałem? Masz w tej chwili odwiązać tego kretyna. – Mówił bez najmniejszego wysiłku, a pętla w rytm posłusznie poruszała się na jego grdyce.

– Co ty nie powiesz – odparłem, cofając się o dwa kroki.

Pokręcił głową Dobrowolskiego, wykrzywając jego rysy w wyrazie niezadowolenia.

– Coś ci się pomyliło, przyjacielu. – Tym razem zaprezentował wilczy, pobłażliwy i pełen wyższości uśmiech, który dobrze pamiętałem z piwnicy domu Adamowiczów. – Po pierwsze, nic się nie zmieniło i wciąż nie możesz się do mnie zwracać po imieniu...

– A pieprz się, stary dziadu!

– Po drugie, jest tu w pobliżu mnie pewien bardzo młody człowiek. Jeśli nie spełnisz mojego żądania w ciągu minuty, to skręcę mu kark.

– Nie zrobisz tego! – krzyknąłem.

– Doprawdy? – Tym razem odchylił głowę do tyłu i roześmiał się szczekliwie. – Może się załóżymy?

– Jaką mam pewność, że...?

– Och, wy z tą swoją zasraną pewnością! Najpierw Teresa, potem Tadeusz, a teraz ty... Nie masz żadnej pewności, rozumiesz? Ale masz moje słowo i ono ci będzie musiało wystarczyć.

Zacząłem się wahać.

– Masz ochotę podjąć takie ryzyko? – zapytał, znów czytając w moich myślach.

– Dotrzyma pan słowa?

– Ja zawsze dotrzymuję słowa – odparł.

Ruszyłem w stronę haka, by rozwiązać węzeł.

– Poczekaj jeszcze chwilę – rozkazał. – Z wezwaniem policji masz poczekać do zmroku, żeby księżulo zdążył się bez przeszkód oddalić, rozumiesz?

Nie odpowiedziałem.

Chwilę potem ciało Dobrowolskiego głucho uderzyło o podłogę. Podeszedłem bliżej. Leżał na boku, więc z łatwością wymierzyłem mu solidnego kopniaka w klatkę piersiową.

– Masaż serca – powiedziałem.

Drgnął i łapczywie nabrał powietrza, a ja powoli, nie odwracając się ani razu, wyszedłem na zewnątrz.

\*

(...)

---

Wydawnictwo: Videograf  
Miejsce wydania: Chorzów  
Wydanie polskie: 5/2014  
Liczba stron: 320  
Format: 135x205 mm  
Oprawa: miękka  
ISBN-13: 9788378352815  
Wydanie: I  
Cena z okładki: 32,90 zł